

Konrad Turzyński

Czy wszyscy byliśmy "umoczeni"?



nr 4/40/ z 2005 r., str. 12-15

<http://www.opcjnaprawo.pl/index.php/component/k2/item/2437-czy-wszyscy-byliśmy>

nr 5/41/ z 2005 r., str. 18-21

<http://www.opcjnaprawo.pl/index.php/component/k2/item/2394-czy-wszyscy-byliśmy-umoczeni?-2>

Cz. I. Względy pragmatyczne

Temat przebaczenia jest "nieśmiertelny". Ostatnio jednak wracał częściej do publicznego obiegu. A to za sprawą Roku Jubileuszowego w Kościele Katolickim, a to — *toutes proportions gardées* — za sprawą niegdysiejszej "biesiady" red. Adama Michnika i gen. Czesława Kiszczaka ("*Pożegnanie z bronią*" w "*Gazecie Wyborczej*" z 6 lutego 2001 r.). Dziś już niemal nie pamiętamy duserów, które sobie nawzajem prawili ci dwaj rozmówcy. Ostatnio bowiem do ożywienia dysput na temat przebaczenia i nienawiści przyczynia się tematyka "lustracyjna". Spróbujmy zastanowić się nad przebaczeniem w życiu publicznym. Mniej więcej od czasu, gdy premier Tadeusz Mazowiecki w swoim *exposé*, powiedział, że "*przeszłość odkreślamy grubą linią*", ale także dawniej, rzecz jasna, niejednokrotnie zdarzało się, że osoby publicznie wypowiadające się na temat rozliczania złych czynów popełnionych pod osłoną PRL-owskiej władzy zaskakiwały słuchaczy albo czytelników dziwnymi niekonsekwencjami. Zaznaczam, że w poniższych uwagach skupię uwagę przede wszystkim na moralnym (w odróżnieniu od prawnego) aspekcie rozliczania.

Reguły wybaczenia

Po pierwsze, **przebaczenie nie może być ani udzielone, ani przyjęte w czyimś zastępstwie** — ten pogląd uważam za jeden z najważniejszych składników tej dyskusji. Jeśli mój rodak, mój współobywatel, mój powinowaty albo mój krewny doznał od kogoś krzywdy, to nie w mojej mocy jest wybaczyć sprawcom tę krzywdę. Mogę najwyżej wybaczyć swoją krzywdę, która pochodzi od tamtej krzywdy. I odwrotnie: jeżeli mój współobywatel, mój rodak, mój powinowaty albo mój krewny skrzywdził kogoś, to moje prośby o wybaczenie, moje deklarowanie lub nawet odczuwanie wstydu z tego powodu, albo wręcz moje starania o zadośćuczynienie za wyrządzoną krzywdę (zresztą, nie w każdym wypadku całkowicie możliwe) wcale nie oznaczają tego samego, co takie same zachowania byłego krzywdziciela. Interesujące i pouczające w tej mierze jest to, jak problem przebaczenia jest traktowany w Kościele Katolickim — mam na myśli spowiedź. Niedopuszczalnym świętokradztwem byłoby spowiadać się z grzechów nie swoich tylko cudzych, a warunkiem ważności rozgrzeszenia jest zadośćuczynienie także bliźnim — których należy prosić o darowanie win zaciągniętych wobec nich.

Odpowiedzialność (a więc również: z jednej strony — moralne prawo do udzielania przebaczenia krzywdzicielowi, a z drugiej — do proszenia o wybaczenie i do otrzymania go) **nie może być ani zbiorowa, ani dziedziczna**. Dlatego nie podpisałbym się nigdy pod wezwaniem tego rodzaju co *"przebaczamy i prosimy o przebaczenie"*. Polscy biskupi skierowali takie słowa 40 lat temu (w jesieni 1965 r.) do biskupów [zachodnio-]niemieckich, jednak poważne potraktowanie owych słów mogłoby oznaczać jedynie to, że chodziło (tylko i właśnie) o krzywdy wyrządzone sobie nawzajem przez... te dwa Episkopaty: polski i niemiecki. (Słusznie — moim zdaniem — zauważył, odnosząc się do tego właśnie przypadku, znany warszawski matematyk i filozof pod koniec lat siedemdziesiątych: *"[...] krzywdę, którą ja doznałem[,] tylko ja mogę przebaczyć i biskup nie ma prawa występować tu w moim imieniu bez mojego upoważnienia. Biskup może mnie namawiać, czy nawet rozkazywać, ale ja sam żyję, grzeszę, lub przebaczam."*, por.: Andrzej Grzegorzczak, *"Kilka myśli na marginesie książki A. Michnika: »Kościół, lewica dialog«"*, **"Spotkania"**, nr 5-6 [reedycja paryska], str. 339.) Ale z tego samego powodu (tj. nieuznawania odpowiedzialności zbiorowej lub dziedzicznej) nie sposób zgodzić się z poglądem, że dekomunizacja to zły pomysł, bo jakoby *"wszyscy (chcąc nie chcąc) uczestniczyliśmy w tym (PRL-owskim) zlu"*. Owszem, uczestniczyliśmy. Na przykład przez to, że posługiwaliśmy się dowodami osobistymi i pieniędzmi, w których była nazwa i godło PRL. Także — do pewnego czasu — przynależność do reżymowych związków zawodowych (zrzeszonych w CRZZ, bo innych wtedy nie było) i chyba nawet udział w imprezach pierwszomajowych (przynajmniej dla niektórych, np. dla uczniów i nauczycieli) były praktycznie nie do uniknięcia. Rozmaici ludzie różnie to przyjmowali: w najgorszych latach terroru oczywiście trudno było o bohaterów, którzy na każdym kroku demonstrowaliby niezłomność, ale nie brakło wtedy i później nadgorliwców, których potem usprawiedliwiano, albo którzy sami się usprawiedliwiali tym, jakoby np. "musieli" należeć do PZPR. Tak więc miara uczestnictwa w kolaboracji z reżymem była bardzo rozmaita.

Tu nie odmówię sobie wtrącenia pewnej anegdoty. W czasach przedsiarpniowych miałem okazję razem z ojcem słyszeć wywiad prof. Kołakowskiego dla BBC. Ojciec wykazywał sceptycyzm wobec profesora, toteż zapragnąłem dowartościować jakoś ex-tow. Kołakowskiego i powiedziałem, że to człowiek, który z pozycji członka **partii i marksistowskiego** filozofa, uprawiającego wojujący ateizm i niemniej agresywną publicystykę ideologiczną w latach pięćdziesiątych, stopniowo doszedł do napisania wielkiej książki *"Główne nurty marksizmu"*,

gdzie "zrównał **marksizm** z ziemią". Najwidoczniej moja fascynacja tym autorem była na tyle (naiwnie) nadgorliwa, że ojciec nie wytrzymał i odpowiedział, iż nie potrzebował ani dnia być w partii, aby poznać się na tym ustroju i wiedzieć, że jest "diabła warty". Zrozumiałem, że to była po prostu zdroworozsądkowa reakcja prostego człowieka, który wystarczająco się bał, aby nigdy się nie buntować, ale zarazem był wystarczająco rozumny i uczciwy, aby nie kolaborować ani nie prowadzić podwójnego życia (na przykład: "**komunisty**" dla obcych i "katolika" dla swoich). Wydaje mi się, że gdy obecnie wymaga się od ludzi "wierności wstecz", to chyba podobna postawa jest czymś, czego można by wymagać od większości, bez popadania zarówno w nadmierną jak też w zbyt małą tolerancję dla słabości ludzkich.

Ex-członkowie **PZPR** z młodszego pokolenia lubią podkreślać, że czasów zbrodni katyńskiej a nawet — terroru z czasów Bieruta w ogóle nie pamiętają, bo pamiętać nie mogą. To prawda, ale taka deklaracja brzmi tak, jak gdyby mieli powód obawiać się odpowiedzialności karnej za postęпки ich starszych towarzyszy z lat czterdziestych. W pewnej dyskusji radiowej (kilka lat temu, nie pamiętam niestety bliższych okoliczności) słuchacz telefonujący do studia przestrzegał przed "niebezpieczeństwem" skazywania na śmierć **PRL**-owskich kolaborantów wraz z rodzinami. (Tego nawet tow. Stalin nie wymyślił: w **Sowietach** żona rozstrzelanego za "zdradę" dostawała "zwyczajowo" dziesięć lat łagru, co nie pozostawało bez wpływu na długość życia skazanej, ale formalnie jednak nie było wyrokiem śmierci. Któż to w dzisiejszej Polsce miałby być zwolennikiem takiej radykalnej surowości?) Ten właśnie "argument" bywał przypominany, gdy chodziło o uznanie pewnych organizacji za przestępcze. (Dodajmy: jest to "argument" podobnie **prymitywny i głupi**, jak "modny" kilkanaście lat temu dowcip o rychłym jakoby pojawieniu się "patroli zakonnic", sprawdzających, czy pasażerowie w środkach komunikacji publicznej... noszą medaliki.)

Ale przestrzegający — przy takich właśnie okazjach — przed odpowiedzialnością zbiorową powinni pamiętać, że chociaż w pokonanych i okupowanych Niemczech pewne organizacje (bodajże **NSDAP** i **SS**) zostały przez Trybunał Norymberski uznane za zbrodnicze, to jednak ani ten, ani żaden inny sąd (na obszarze Niemiec) nie skazał nikogo tylko za samą przynależność do owych struktur. Analogiczna sytuacja powinna nastąpić w Polsce; co prawda — już istnieje (i to od dawna) kruczek prawny, pozwalający uznać za przestępstwo sam tylko fakt przynależności do takich organizacji jak **PZPR** albo **SB** i im podobnych (por.: Stanisław Michalkiewicz, "**Czy PZPR była organizacją przestępczą?**", "**Najwyższy Czas!**" nr 11(408) z 14 marca 1998 r., str. IV; Michalkiewicz jest, co warto mieć tu na uwadze, prawnikiem z wykształcenia) i stosownie do tego wymierzać karę, ale tak daleko sięgająca represyjność, chociaż formalnie sprawiedliwa, byłaby materialnie krzywdząca (**summum ius summa iniuria**, jak mawiali starożytni Rzymianie, czyli w wolnym tłumaczeniu: "*szczyt prawa szczytem niesprawiedliwości*").

Bardzo jednak upowszechnił się slogan: "*trzeba patrzeć w przyszłość*" i pokrewny mu: "*wszyscy byli[śmy] winni*". W ich upowszechnieniu, zarówno wśród osób wykształconych jak też wśród tzw. prostych ludzi, znakomicie sprawdziła się rada wymyślona już przez Franciszka Aroueta (francuskiego oświeceniowca, znanego pod pseudonimem "Voltaire") i jawnie wyznawana także przez niemieckiego **ober-klamcę** tow. Józefa Göbbelsa: kłamać do upadłego, a wtedy przynajmniej coś z tego na trwałe trafi do przekonania masowych odbiorców propagandy. W podszeptowaniu takiego właśnie punktu widzenia przodują gazety, które i przed, i po 1989 r. przodowały (owszem, nadal przodują!) także w masowości zbytu. **Znamienne, że ci sami ludzie, którzy tak myślą i tak mówią, nie są jednak skłonni unieważniać przeszłości, gdy chodzi o krzywdy, których sami doznali w prywatnych relacjach międzyludzkich.** (Przykłady łatwo spotkać chyba wszędzie w Polsce.) Znakomitą, celną drwinę z takiego dwutorowego traktowania przeszłości, zawiera pewien epizod w filmie "**Król lew**": Prawowity następca tronu, przebywający dla własnego bezpieczeństwa na emigracji po krwawym przewrocie pałacowym dokonanym przez jego stryja, odżegnywał się słowami "*to już przeszłość*" od myśli o słusznym rewindykowaniu swojej władzy, ale zachował się zupełnie inaczej, gdy został przez kogoś innego uderzony^[1] właśnie w celu wywołania — i ośmieszenia — takiego argumentu.

Błędem jest nie tylko posługiwanie się przez kogokolwiek zasadą odpowiedzialności dziedzicznej i/lub zbiorowej, **błędem jest także zrównywanie odpowiedzialności** — tak, jak gdyby można było w jednym szeregu kolaborantów zestawiać oprawcę z **Informacji Wojskowej** albo z **Urzędu Bezpieczeństwa** z kimś, kto dla gminnej kariery lub tylko "na wszelki wypadek" należał do satelickiego **ZSL**. Albo — po drugiej stronie: podobny tytuł do chwały przyznać np. partyzantowi z organizacji Wolność i Niezawisłość, który za to tak czy inaczej "odpokutował" (nawet jeśli nie trafił w łapy funkcjonariuszy **bezpieki**) i członkowi **PZPR**, który rzucił legitymację partyjną dopiero po którymś z pamiętnych polskich "miesięcy" (dwa Czerwce, dwa Grudnie i parę innych).

Odpowiedzialność na opak

Ale jest jeszcze gorszy rodzaj błędu w niesłusznym domaganiu się miłosierdzia ("chrześcijańskiego"). Jest to taka postawa (niestety, bardzo częsta), w myśl której **samo tylko nazwanie zła złem już jest czymś, co rzekomo nie daje się pogodzić z zasadami ewangelicznymi**: przebaczeniem i miłosierdziem. Ludzie, którzy sami albo jawnie dystansują się od religii chrześcijańskiej (lub wszelkiej w ogóle), albo przynajmniej — od oficjalnych głosicieli danej religii, lubią jednak występować jakoby w imię jej zasad moralnych i w to imię — obłudnie — potępiać.

To "święte oburzenie" katolików albo ex-katolików, którym się zdaje, że lepiej od księży bronią chrześcijaństwa, jest tak uniwersalne, że sięga niejako i w przeszłość, i w przyszłość. Co do przeszłości — są np. **przeciwni lustracji**, bo *"to były inne czasy"*, trzeba na to *"spuścić zasłonę milczenia"*. (Wyrażenie o mniej więcej takim brzmieniu wymknęło się także np. ks. arcybiskupowi Tadeuszowi Gocłowskiemu w jednej z jego wypowiedzi radiowych lub telewizyjnych kilka lat temu — niedawno zaś ks. arcybiskup Józef Życiński, chcąc bronić dobrego imienia pewnych ludzi z lubelskiego środowiska naukowego przed zarzutem współpracy z **SB**, również NADinterpretował ewangeliczne wskazania.) Trzeba jakoby *"patrzeć do przodu"* (albo: *"wybierać przyszłość"* — jak w pamiętnym sloganie przedwyborczym tow. Kwaśniewskiego), gdyż *"i tak już nie sposób dojść prawdy"*. Na wszelki wypadek w takich wywodach **podaje się zarazem argument, że bycie współpracownikiem SB nie było w PRL przestępstwem, i także argument oparty na przeciwnym założeniu, tj. zasadę domniemania niewinności**. (Sankcja według obecnie obowiązującego prawa dotyczy tylko "kłamstwa lustracyjnego", a jej uzasadnieniem jest "clearing" czyli filtr w procesie doboru kadr na najbardziej odpowiedzialne stanowiska w państwie, motywowany względami pragmatyki, nie zaś moralności. Niemniej jednak inspirowana przez komunistów **anty-lustracyjna histeria** jest — mimowolnym? — przyznaniem, że ta kwestia posiada także jakiś wymiar ocenny, jeśli nie z prawnego, to przynajmniej z moralnego punktu widzenia...) Zaś co do owej **PRZYSZŁOŚCI** (którą mamy wybierać głosując na ich faworytów) ludzie o takim nastawieniu namiętnie protestują **przeciwko karnemu ściganiu aborcji**, bo to polega JAKOBY na niemiłosiernym braku wyrozumienia wobec ludzi, którzy dopiero ewentualnie w przyszłości — i, rzecz jasna, tylko z powodu wyjątkowo trudnych sytuacji życiowych! — dopuszczają się takiego zła. Wszelkie drwiny z bardziej lub mniej prawicowych postaw zawierają jako (niemal) stały element "rymujące się" hasło **"ABORCJA — LUSTRACJA"** (w takich wypadkach najczęściej chodzi o wykpiwanie pospół ugrupowań uważających siebie za "posierpniowe", którym przecież trudno jednoznacznie przypisać prawicowość, ale pod wpływem propagandy komunistycznej i krypto-komunistycznej za "prawicę" dość powszechnie uchodzi nawet **Unia Wolności**).

Warunki (dobrej) spowiedzi

Nieraz też się słyszy zarzut, że oto ile jeszcze razy biedni [post]komuniści, albo raczej — socjaldemokraci (to nie żart: najdawniejsza nazwa tego nurtu w Polsce to "**Socjaldemokracja Królestwa Polskiego [i Litwy]**"; tylko przez jedną piątą swojej ponad stuletniej historii w Polsce komuniści działali pod nazwami zawierającymi słowa pokrewne wyrazowi "**komunizm**"; zresztą za cara Mikołaja II w Rosji **partia komunistyczna** też nazywała się podobnie: "**Socjaldemokratyczna Partia Robotnicza Rosji**", której SDKPiL w kwietniu 1906 r. stała się częścią) mają przepraszać: tow. Piotrowski całą winę za śmierć ks. Popiełuszki wziął na siebie, tow. Jaruzelski już co najmniej kilka razy uczynił podobnie z odpowiedzialnością za stan wojenny, tow. Kwaśniewski przeprosił w Sejmie za wszystkich swoich towarzyszy z PZPR już przynajmniej jeden raz — gdy tylko w 1993 r. został przewodniczącym najliczniejszego klubu poselskiego. I niech teraz ktoś ośmieli się powiedzieć, że nie jest jeszcze usatysfakcjonowany, a zwłaszcza — że nie przyjmuje przeprosin i nie udziela przebaczenia: zaraz (przynajmniej dla tow. Sierakowskiej i podobnie myślących) okaże się, że to on mówi "*językiem nienawiści*", (znamiennie: pamiętna książka "**Zamiast procesu. Raport o mowie nienawiści**" Magdaleny Tulli i Sergiusza Kowalskiego, W.A.B., Warszawa 2003, zajęła się "*mową nienawiści*", ale nie w Urbanowym "**Nie**", lecz w pięciu^[2] **ANTY-komunistycznych** gazetach!) zaś "**socjaldemokraci**" opierają się (kto by pomyślał?!) na... katolickiej nauce społecznej. Ludzie, którzy w swoim mniemaniu są bardziej katolicki niż papież, a ewangelicznej moralności chcieliby bronić przed Kościołem (jak tow. Sierakowska przed ks. biskupem Pieronkiem), zapomnieli chyba PIĘĆ WARUNKÓW DOBREJ SPOWIEDZI (tu powinienem być po ewangelicznemu wyrozumiały i uczynić wyjątek dla tych, którzy owych warunków nigdy w życiu na oczy nie widzieli...). Wierzą, albo udają, że wierzą, jakoby wystarczył warunek czwarty: **wyznanie grzechu**.

Niektórzy zdrajcy i inni winowajcy chcieliby uniknąć również spełnienia tego, co jest odpowiednikiem czwartego warunku dobrej spowiedzi, czyli **przyznania się do swoich win i poproszenia o przebaczenie** — jak powiada p. Władysław Bartoszewski: "*Ale jak można wybaczać komuś, kto nie poczuwa się do winy, nie ma nawet cienia wątpliwości? [...] Nie, nie wybaczyłem nikomu z tych, którzy do mnie nie przyszli z prośbą o wybaczenie, ani Niemcom, ani Polakom ani nikomu z prześladowców.*" (w: Marcin Gugulski [red.], "**Jaki dostęp do archiwów IPN**", "**Głos**" nr 4(1071) z 29 stycznia 2005 r., str. 12). Bowiem "*Przebaczenie jest możliwe. Ale dopiero wtedy, gdy zdrazca przyzna, że popełnił zdradę [...]*" (por.: Wojciech Pięciak, "**Teczki. Lekcja praktyczna**", "**Tygodnik Powszechny**" nr 4(2898) z 23 stycznia 2005 r., str. 5). Nawet Jezusowa przypowieść, zaczynająca się od tego, że nie tylko siedem, ale nawet siedemdziesiąt siedem razy należy wybaczać (temu samemu bliźniemu), jeśli zajdzie taka potrzeba, w dalszym ciągu konkretyzuje to w ten sposób, że najpierw następuje prośba o miłosierdzie, a potem odpowiedź na nią (por.: "**Ewangelię wg św. Mateusza**", rozdz. 18, w. 21-35).

A już zupełnie jest nieważny **rachunek sumienia**, nieważny **żał za grzechy** (no, to chyba najtrudniej sprawdzić; może jeszcze najbardziej przekonująco wypadł tow. Chmielewski, gdy załamał się na procesie o zamordowanie ks. Popiełuszki?), a zwłaszcza nieważne **zadośćuczynienie** za wyrządzone krzywdy. Kto się tego domaga, to dopiero jest mściwy człowiek! Czepiałby się i czepiał! Nie sposób cofnąć morderstwa i trwale okaleczenia. Nie sposób cofnąć fakty niesłusznego więzienia ludzi. Ale sam tylko postulat zwrócenia ukradzionych dóbr albo naprawienia krzywd spowodowanych zniszczeniem prywatnego i publicznego mienia lub zwichnięciem "karier" wielu ludzi to nie jest coś, co byłoby ze swej istoty niewykonalne. Jednak "**chrześcijańskim**" obrońcom **komuny** wydaje się, że można przeprosić za kradzież i dzięki temu (a nawet bez tego) uzyskać wybaczenie, ale zarazem nadal korzystać z owoców kradzieży nawet nie próbawszy

zadośćuczynić okradzionemu. Więcej: sam pomysł zwrócenia tego, co ukradziono, popycha ich ku okazywaniu "moralnego oburzenia"!

I właśnie taka postawa wydaje mi się **najpaskudniejszym nadużyciem** towarzyszącym w ostatnich latach w Polsce słowom o przebaczeniu. Bowiem to polega na **odwracaniu kota ogonem**: sprawca zła albo poplecznik sprawy (poplecznik choćby przez szeregowe członkostwo w **PZPR**, która w ciągu 41 lat swojego istnienia patronowała wielu zbrodniom **komunistycznym**, a także zatajaniu prawdy o innych zbrodniach **komunistycznych**) chce, kosztem wykrztuszenia niewiele kosztujących go słów przeproszenia, uzyskać pozycję szlachetnego człowieka, a ewentualne słowa krytyki od przeciwników politycznych poczytać im za straszny grzech niemiłosierdzia.

Czyż może być większa obluda? Samemu dać się filmować na kościelnym klęczniku, westchnąć publicznie o "Bożej Dziecinie" i swoim towarzyszom od "religioznawstwa" udzielać partyjnego "błogosławieństwa", we wspomnieniach sejmowej kur... tyzany wypaść jako pocziwy, wierny małżonek swojej ślubnej towarzyszki życia, jeszcze mieć (jak imiennik, Wielki Językoznawca) w swoim życiorysie okres nauki w seminarium duchownym, a już można "*księdza uczyć pacierza*" (a raczej — biskupów uświadamiać o moralności chrześcijańskiej). Na tle takiej wzruszającej, uwspółcześnionej "*Legendy o świętym Aleksym*" wzdychania o "*prowokacji*", jakiej ten "bohater" pad[a]ł ofiarą, to głupstwo — przecież on i jego towarzysze w ramach swojego "*uzusu językowego*" przez dziesiątki lat nazywali "*prowokacjami*" wszystko, co chcą skrytykować albo przedstawić jako zdarzenie negatywne.

Zwykły wierzący śmiertelnik, jeśli chce mieć ważne rozgrzeszenie (w Kościele Katolickim — o innych wyznaniach mam pod tym względem wiedzę bardzo małą albo wręcz żadną), musi swoje grzechy rzetelnie sobie przypomnieć, musi za nie na modlitwie żałować (przynajmniej ze strachu przed piekłem — tzw. "żał niedoskonały"), musi postanowić poprawę (przynajmniej wobec Boga i siebie, ale nieraz tego samego domagają się od niego ci, których on ukrzywdził i potem — sam spowiednik), później powinien odważnie przyznać się przed księdzem nawet do najbardziej wstydliwych sprawek, a wreszcie — oddać, co ukradł, przeprosić tych, którym naubliżał, i jeszcze odmówić tzw. "pokutę". A na dodatek — nieraz nasłuchiwać się żartów z tego, że tak poważnie tym wszystkim się przejął.

Ale niezwykły i może (zazwyczaj) niewierzący śmiertelnik (czytaj: **komunista**) nie dość, że tego wszystkiego "nie musi", to jeszcze uważa, że to inni "muszą", ale wobec niego — muszą być po chrześcijańsku miłosierni, a biada im, gdy omieszkają tak postąpić: zostaną okrzyczani inkwizytorami (od "*polowań na czarownice*"), zwolennikami zemsty ("*rewanżystami*", "*odwetowcami*" — czy ktoś jeszcze teraz pamięta, jak często to ostatnie słowo, stosowane do niemieckich przesiedleńców, gościło w języku **PRL**-owskiej propagandy?), ludźmi nietolerancyjnymi, [klero-]faszystami i wszelaką czarną sotnią.

Antykomunizm = ekstremizm?

A co najgorsze w tym wszystkim — ów **komunista** (pardon: "**socjaldemokrata**"!) pożytkuje w takiej postawie cichą lub jawną solidarność znacznej liczby Polaków, którzy nawet będą skłonni zarzuty wobec niego poczytać za przykład **RZEKOMEJ skrajności** w poglądach przejaw zacierzwienia politycznego, zaś jego samego uznać za porządnego Polaka, ba, nawet za "patriotę"

(według zasady: "jestem patriotą, bo uważam, że nim jestem"), a zarazem — za nowoczesnego "Europejczyka" (zwolennika integracji Polski z Zachodem: **Unią Europejską** i NATO).

Tak, bo dla takiego sposobu myślenia już poglądy upowszechniane np. w **"Gazecie Polskiej"** (aż strach wymieniać tytuły, słuszniej niż **"GP"** mogące uchodzić za: prawicowe, antysocjalistyczne, narodowe albo niepodległościowe) są JAKOBY "skrajne"! Choćby red. Piotr Wierzbicki nie tylko jeden raz (por.: *"Czy Gazeta Polska wyraża poglądy skrajne"*, **"Gazeta Polska"** nr 45(173) z 7 listopada 1996 r., str. 12-13), ale co miesiąc na całych dwóch kolumnach odzęgnywał się od wszelkich ekstremizmów (przypomnijmy sobie: dla władz w **stanie wojennym** właśnie elementami skrajnymi, czyli "ekstremą", byli nie tylko tacy radykałowicie jak p. Andrzej Gwiazda, ale również tacy ugodowcy jak p. Tadeusz Mazowiecki), za to dobrze znana **"Trybuna [Ludu]"** i (podobno nadal) dobrze sprzedający się tygodnik **"Nie"** to gazety uchodzące za "normalne", mieszczące się RZEKOMO w "głównym nurcie" życia publicznego w kraju. (Publikacje z **"Nie"** bywają cytowane, a dziennikarze z tej redakcji bywają zapraszani do różnych dysput, jak gdyby nigdy nic... Jednego takiego widziałem nawet w *"Sprawie dla reportera"* w publicznej Telewizji Polskiej w 2005 r.), gdy tymczasem od paru lat red. Stanisław Michalkiewicz z **"Najwyższego Czasu"** nie bywa już zapraszany ani do *"Sprawy dla reportera"*, ani do niedzielnej audycji *"W samo południe"* w I programie publicznego Polskiego Radia, jak gdyby był człowiekiem "zapowietrzonym"... Działo się tak znacznie wcześniej, niż nastąpiła wypowiedź ks. arcybiskupa Życińskiego surowo piętnująca red. Michalkiewicza z powodu ujawnienia w listopadzie 2004 r. przezeń tożsamości konfidenta* o kryptonimie "Historyk"). Swoją drogą może być interesujące, jak mocnych epitetów używałyby propaganda w **PRL** za czasów Bieruta, Gomułki i Gierka, gdyby wtedy w Niemczech (Zachodnich) ukazywała się gazeta, będąca bezpośrednią kontynuacją hitlerowskiego **"Völkischer Beobachter"**, albo tygodnik, który byłby redagowany przez (wspomnianego już tutaj) tow. Józefa Göbbelsa, ex-ministra propagandy w **III Rzeszy**.

Obecnie kwestie przebaczenia win powracają ze wzmożoną siłą z powodu tematyki "lustracyjnej". Legendarny przywódca jawnej i potem podziemnej "Solidarności" na Dolnym Śląsku Władysław Frasyniuk przestrzegał niedawno przed nienawiścią (W **"Gazecie Wyborczej"** już dosłownie nazajutrz po Macierewiczowskiej lustracji czyli 5 czerwca 1992 r. wydrukowano na pierwszej stronie wiersz Wisławy Szymborskiej pt. **"Nienawiść"**, napisany — chyba? — specjalnie na tę okazję.) W podobnym duchu wypowiedzieli się inni ludzie z tzw. *"obozu po-sierpniowego"*, jak np. p. Józefa Hennełowa, p. Krzysztof Kozłowski, p. Janusz Onyszkiewicz, p. Zbigniew Bujak, ex-tow. Bogdan Lis... **Czy naprawdę najważniejszym problemem związanym z ujawnianiem tego, kto był współpracownikiem komunistycznej bezpieki, jest domniemana "nienawiść"?**

Nie ulega wątpliwości, że należyta wnikliwość jest potrzebna także w ocenianiu tego, jak oraz dłaczego ktoś decydował się donosić. Kto uległ szantażowi, kto zaś był łasy na pieniądze i inne gratyfikacje. Kto donosił gorliwie i sumiennie, a kto starał się minimalizować swoje szkodnictwo. Kto został zwerbowany w czasie pobytu w **PRL**-owskim więzieniu, zwłaszcza w czasach terroru stalinowskiego lub jego krótkotrwałych nawrotów, jak w Grudniu 1970 r. (dwa takie przykłady można znaleźć na tzw. *"Liście Macierewicza"* włącznie z pewnymi uzupełnieniami jej wydrukowanymi w 1993 r. w **"Gazecie Polskiej"**), a kto przestraszył się tylko perspektywy zatrzymania na 48 godzin albo tego, że nie otrzyma paszportu na podróż służbową. Kto znajdował w redagowaniu donosów swoją pasję (jak TW "Ewa", która przez wiele lat donosiła na sławnego pisarza, znanego pod pseudonimem "Paweł Jasienica"), albo zdradzał **esbekom** tajemnice, do których ochrony był szczególnie powołany (np. jako: spowiednik, lekarz, psycholog albo adwokat), a kto pełniąc stanowisko kierownicze — nawet podrzędne — rozmawiał z **esbekami** tylko, gdy do niego przychodzili z pytaniami o podwładnych. Zarówno teoretycznie jak też praktycznie występuje tu duża rozbieżność postaw ludzkich.

Cz. II. Względy etyczne

W polskich dziejach i literaturze

Co innego jednak z ludźmi pragnącymi robić taką albo inną karierę w "transformowanej" Rzeczypospolitej. Mam na myśli tutaj nie tylko tych, których przeszłość mogłaby stanowić okazję do szantażu (i po to właśnie ustanowiono konsekwencje karne za "kłamstwo lustracyjne"), ale również bycie na przykład kimś, kto poucza innych, jak powinni żyć: publicystów, nauczycieli, duchownych... **Jeżeli takich ludzi spotyka przykrość zawstydzenia z powodu ich konfidenctwa, to jest to zrozumiałe i moim zdaniem akceptowalne.** Jacek Soplica, znany nam z *"Pana Tadeusza"* Mickiewicza, miał świadomość swojego nagannego postępowania i dlatego dobre dla narodu dzieła pełnił jako "Ksiądz Robak", podobnie w *"Potopie"* Sienkiewicza płk. Andrzej Kmiecic przybrał nazwisko "Babinicz", gdy jego prawdziwa tożsamość była zszargana piętnem zdrady narodowej. Wśród "uczonych w Piśmie", którzy oczekiwali od Jezusa zatwierdzenia ich wyroku śmierci wydanego na jawno grzesznicę (por.: *"Ewangelię wg św. Jana"*, rozdz. 18, w. 21-35), żaden nie miał jednak odwagi rzucić pierwszy kamieniem i — tym samym — uznać siebie za bezgrzesznego... Gdybyż tak nasi czołowi zdrajcy umieli naśladować literackiego — ale za to szeroko znanego — Jacka Sopicę! Nie wchodzić na przysłowiowe "pierwsze strony gazet", lecz pozostawać w **dobrowolnej abstynencji** od służby publicznej, od korzyści majątkowych i prestiżowych z nią związanych: *"jako robak w prochu... / Zły przykład dla Ojczyzny, zachętę do zdrady / Trzeba było okupić dobrymi przykłady"* (Adam Mickiewicz, *"Pan Tadeusz"*, ks. X, w. 832-834). Nie... raczej: *"z grzechów w nowe grzechy"* (tamże, w. 663). Oby jeszcze było tak dobrze, iżby każdy z nich mógł za Jackiem Sopicą powtórzyć przynajmniej to oto: *"Bo fałsz, żebym był w jakiej z Moskalami znowie."* (tamże, w. 730)! Ale gdzież tam, wołać liczyć na to, że nadal sprawdzać się będzie fatalna reguła, powiadająca, iż: *"Nawet gmin, który swoim tak łacnie uwłacza, / Tym, którzy Moskwie służą, szczęśliwszym — przebacza!"* (tamże, w. 816-817). Kiedyś jednak mogą się przeliczyć...

Sprawiedliwość w obecnej Polsce pozostawia podobnie wiele do życzenia, jak w starożytnej Troi, o której Jan Kochanowski pisał w *"Odprawie posłów greckich"* następująco: *"O nierządne królestwo i zginienia bliskie, / Gdzie ani prawa ważą, ani sprawiedliwość / Ma miejsca, ale wszystko złotem kupić trzeba!"*. Jednak czy aby dalszy ciąg tej mowy Ulisseja z cytowanego utworu nie pasują właśnie do niejednego spośród czołowych zdrajców Polski także w najnowszych naszych dziejach? Przyjrzyjmy się: *"Jeden to marnotrawca umiał spraktykować, / Że jego wszeteczeństwa i lotrowskiej sprawy / Od małych aż do wielkich wszyscy jawnie bronią: / Nizacz prawdy nie mając ani końca patrząc, / Do którego rzeczy przyść za ich radą muszą."* (zob.: Jan Kochanowski, *"Odprawa posłów greckich"*, w. 383-390.) Kochanowski napisał wszak *"Odprawę"* z myślą o Polsce, a nie o Troi! Chociaż nasz kraj przeżywał wtedy jeszcze swój — jak to dzisiaj nazywamy — "złoty wiek", poeta niepokoił się o jego przyszłość. Mniej więcej w tych samych czasach jezuita o. Piotr Skarga Pawęski prorokował rozbiory Polski i, niestety — jak to się teraz kolokwialnie nazywa — "wykrakał" owo narodowe nieszczęście na dwa stulecia przed jego ziszczeniem się! Za czasów księdza Skargi, tak jak i teraz, Polska miała coraz bardziej beztroskie elity polityczne. Za czasów poety Kochanowskiego, tak jak i teraz, Polska miała swoją "złotą młodzież", z której takowe elity potem wyrastały. **Wtedy jednak człowiek, który uważał, że on sam lub jego rodzina rozporządza dostatecznie dużymi wpływami, aby jawnie kpić sobie z ojczystego prawa, tragicznie się przeliczył.** Mam na myśli Samuela Zborowskiego, który za zabójstwo, popełnione wprawdzie "w afekcie", ale w bliskiej obecności króla, podlegał w myśl ówczesnego prawa karze śmierci, został skazany tylko na banicję, jednak powrócił z niej samowolnie i po czterech latach (a

w dziesięć lat po zbrodni, za którą go skazano) zuchwałego przebywania w Rzeczypospolitej został wreszcie schwytany i skrócony o głowę. (Wspomniany tutaj dramat autorstwa Kochanowskiego nosi datę o trzy lata późniejszą od roku, w którym Zborowski popełnił zabójstwo.) Ten sławny banita i tak zresztą korzystał aż nadto z łaskowości króla Stefana Batorego, któremu Samuel wraz z rodziną pomógł uzyskać tron Rzeczypospolitej (a potem — też z rodziną — wielce bruździł przeciwko temu samemu królowi, za co z kolei jego brat Krzysztof został skazany na banicję i konfiskatę dóbr, zaledwie w rok po egzekucji Samuela...). **Może jednak raczej odwrotnie: złoty wiek jeszcze trwał właśnie (m. in.) dlatego, że ówczesna Rzeczpospolita umiała upomnieć się nawet u wysokich swoich dygnitarzy o poszanowanie jej i jej praw?** W następnym stuleciu istniały precedensy dzisiejszej "grubej kreski", czego dosyć znanym przykładem jest kariera księcia Bogusława Radziwiłła, kolaborującego na znaczną skalę z najeźdźcą i okupantem szwedzkim (1655), służącego też, wrogiemu Polsce, tzw. elektorowi brandenburskiemu, księciu Fryderykowi Wilhelmowi von Hohenzollernowi (1656). Nie tylko w *"Trylogii"* Henryka Sienkiewicza, ale niestety także w rzeczywistości, ów magnat uniknął grożących mu kar, ba — powrócił do statusu dygnitarza w Rzeczypospolitej, którą był zdradził (został amnestionowany już w 1657 roku, a przez następne 8 lat, za zgodą^[3] króla Jana II Kazimierza, pełnił funkcję gubernatora Prus Książęcych). Nie wiem, czy autor *"Trylogii"* na tyle dobrze poznał „klimat” siedemnastowiecznej Rzeczypospolitej, aby miarodajnie znać nastroje wśród ówczesnej szlachty, niemniej jednak w usta Jana Onufrego Zagłoby włożył następujące słowa o nowej karierze księcia Bogusława Radziwiłła: *"[...] po ludzku rzeczy biorąc, należałaby się takiemu skurczybykowi dobra chłosta. Ale widać, że się dzieje w tej prześwietniej Rzeczypospolitej, jeśli podobni sprzedawczykowie, bez czci i sumienia, nie tylko kary nie ponoszą, ale w bezpieczeństwie i potędze jeżdżą, ba! jeszcze obywatelskie funkcje sprawują. Chyba że zginiem, bo gdzież, w jakim kraju, w jakim innym państwie taka rzecz przygodzić by się mogła? [...] Wszelako nie jego to tylko wina. Widać, że i w narodzie sumienie obywatelskie i czułość na cnotę do reszty zaginęła. Tfu! tfu! on posłem! W jego bezecne ręce obywatele całość i bezpieczeństwo ojczyzny składają, w te same ręce, którymi on ją rozdzierał i w szwedzkie łańcuchy okuwał! Zginiemy, nie może inaczej być [...]"* Przecież prawo wyraźnie mówi, że nie może być posłem ów, który w obcych krajach urzędy sprawuje, a przecie on jest generalnym, u swego parszywego wuja, Prus Książęcych gubernatorem!" (Henryk Sienkiewicz, *"Pan Wołodyjowski"*, podkreślenia moje — K.T. Ten passus został dla naszych współczesnych potrzeb przypomniany publicznie już kilkanaście lat temu, w liście czytelnika Ułafa Swolkiena na łamach **"Nowego Świata"** nr 15(346) z 20 stycznia 1993 r.). Nic dziwnego, że w takich warunkach nasze państwo było coraz mniej szanowane przez wrogów (Berlin i Moskwę), a nawet przez sojusznika-dłużnika (Wiedeń). W dzisiejszej Polsce ludzie, którzy przez znaczną część swojego życia służyli obcemu, najeźdźczo-okupacyjnemu i totalitarnemu reżymowi, chcą zachowywać nie tylko korzyści materialne, osiągnięte dzięki swojej kolaboracji z **Sowietami** ("prominenckie" emerytury, uprawnienia tzw. "kombatanckie", odznaczenia, spore mieszkania i zagraniczne konta bankowe, wreszcie wykpiwane w podręcznikach PRL-owskich *"święte prawo własności"* do udziałów w swoich **nomenklaturowych spółkach**, które potworzyli w drodze nieuczciwego samo-uwłaszczenia, kosztem reszty narodu), ale ponadto są gotowi w razie "potrzeby" twierdzić, że to wszystko im się "należy", oraz lamentować o naruszaniu "praw nabytych", a **na domiar wszystkiego przypisują sobie prawo wystawiania świadectw moralności — albo niemoralności — za zdrajcę ogłaszając takiego, który** (jak płk. Ryszard Kukliński) **zerwał lojalność wobec nich, zaś najwyższy patriotyzm upatrując w przypodchlebianiu się **socjalistycznej** metropolii**, odległej od naszej stolicy o 1122 kilometry (w kierunku jednym albo niemal dokładnie przeciwnym, albo w obu naraz — w przypadkach, gdy chodzi o przykłady podwójnej lojalności).

Zdrajcy Polski — ci NAJpoważniejsi — nie powinni jednak mieć prawa chodzić sobie, w dobrobycie i blichtrze, po polskiej ziemi! Jak pisał Stefan Żeromski o **najeźdźcach z 1920 r.** (w opowiadaniu *"Na probostwie w Wyszkowie"*), ci z nich, którzy — jak tow. Julian Marchlewski i tow. Feliks Dzierżyński — z polskiego narodu pochodzili i na polskiej ziemi wyrosli, nie powinni mieć prawa NAWET do mogiły w ojczyźnie! Oto dosłowny cytat: *"Kto na ziemię ojczystą,*

choćby grzeszną i złą, wroga odwiecznego naprowadził, zdeptał ją, stratował, splądrował, spalił, złupił rękoma cudzoziemskiego żołdactwa, ten się wyrwał z ojczyzny. Nie może ona być dla niego już nigdy domem, ni miejscem spoczynku. Na ziemi polskiej nie ma dla tych ludzi już ani tyle miejsca, ile zajmują stopy człowieka, ani tyle, ile zajmie mogiła." Nie jestem za przywróceniem kary śmierci za zdradę ojczyzny, przynajmniej w czasach pokoju, nie jestem za zabijaniem. Jednak za drastyczne zawinienia powinny być drastyczne kary — niechby były porównywalne, przynajmniej w wymiarze materialnym (= przepadek mienia), do tego, co sędziowie, dyspozycyjni wobec "jaruzelskiej" junty, zasądzi wobec płk. Kuklińskiego! **Zdrajcy Polski (ci najpoważniejsi!)** naprawdę zasłużyli na to, co zaproponował gen. Kiszczak niektórym więźniom politycznym krótko po **stanie wojennym**: "rezygnujesz z wszystkiego, co tutaj posiadasz, i wyjeżdżasz NA ZAWSZE z Polski, albo (być może) i tak to utracisz, a na dodatek posiedzisz sporo lat w więzieniu". (Propozycja min. Kiszczaka była złożona jedenastu^[4] więźniom politycznym, jednakże dwaj inni ministrowie tego samego rządu, Domeradzki i Urban^[5], w 1984 r. publicznie sugerowali możliwość ustawowego przywrócenia kary banicji w Polsce. Byłoby może właśnie zasłużoną ironią historii, gdyby to przywrócenie nastąpiło, ale z "ostrzem" wymierzonym głównie w czołówkę **komunistycznej** elity?) Współcześni **komuniści** nie przyjechali z **Armią Czerwoną** starającą się podbić niepodległe państwo polskie. Wyjątek stanowią najstarsi z nich: przyszli^[6] z **Armią Czerwoną**, karierę robili w najściślejszym związku z tym faktem i w nadgorliwej lojalności wobec okupanta, a wreszcie zabiegali o **sowiecką** interwencję zbrojną w 1981 r. (Por.: Władimir Bukowski, *"Moskiewski proces. Dysydent w archiwach Kremla"*, O.W. Volumen, Warszawa 1998, str. 559-561.) Kiedy zaś dokonywali historycznego oszustwa, polegającego na pozornym przekazaniu władzy wyselekcjonowanemu środowiskom "opozycyjnym", starali się wpisać je (tzn.: to oszustwo) w schemat mający — zgodnie z wolą **Sztabu Administracji Kryzysami**, jak go nazwała prof. Jadwiga Staniszkis-Lewicka — obowiązywać w całym bloku moskiewskim, od "Okrągłego Stołu" w **PRL** po "rewolucyjny" sztafaż, towarzyszący wymianie ekipy kierowniczej w Bukareszcie.

Ostracyzm — banicja — infamia

Chcę być dobrze zrozumiany: **nie postuluję przywrócenia instytucji banicji do prawa karnego w Polsce, ale uważam, że powinna istnieć świadomość, że są tacy obywatele polscy, którzy uczciwie na taką karę zapracowali.** Jeśli obecnie prawo karne nie zawiera kary śmierci, zniesionej w Polsce stosunkowo niedawno, to ten fakt już sam przez się jest świadectwem miłosierdzia wobec zbrodniarzy (nie ustały dyskusje, czy zasadne jest tak daleko idące miłosierdzie...), i podobnie fakt, że nie przywrócono w Polsce kar banicji oraz infamii, które przestały być stosowane o wiele dawniej, też powinien być w świadomości — nie tylko np. zdrajców ojczyzny, ale wszystkich obywateli — uznawany za akt **miłosierdzia**. Akt podobnie **dyskutowalny**, jak ten polegający na braku kary śmierci.

Inni szkodnicy narodowi, też znaczni, ale trochę podrzędniejszego kalibru w stosunku do ścisłej czołówki, powinni doświadczyć takiego, prawnie usankcjonowanego, **ostracyzmu**, jaki w Norwegii i we Francji zastosowano wobec osób, kolaborujących z **narodowym socjalizmem**. (I tu znowu kłania się instytucja staropolskiego prawa: **infamia**, będąca — łagodniejszym ale również — odpowiednikiem kościelnej ekskomuniki.) Niestety, dosyć liczne "**Las Passionarias**" ze **Spółki Leciwych Demagogów**, wsparte przez — jak by powiedział tow. Włodzimierz Lenin — "*pożytecznych idiotów*", występujących (przynajmniej od pewnego czasu) pod innymi (niż **PZPR** lub **SLD**) szyldami, swoim przeraźliwym gdakaniem zapobiegły (jak dotychczas) uchwaleniu jakiegokolwiek ustawy dekomunizacyjnej. Wszystko to zaś w imię tzw. "*porozumienia narodowego*", "*praw człowieka*", "*przebaczenia*", "*niebabrania się w przeszłości*"... **Jeśli nie będzie prawnie**

usankcjonowanego ostracyzmu, to niech będzie przynajmniej zwykle zawstydzenie przed współobywatelami. Przy tym nie zaszkodzi pamiętać, co mianowicie słowo **"ostracyzm"** oznacza pierwotnie, historycznie: w starożytnych demokratycznych Atenach w V wieku p.n.e. co roku jednego obywatela dla dobra ateńskiej **polis** (= państwa będącego miastem) zgromadzenie ludowe poprzez głosowanie skazywało na terminową **dziesięcioletnią banicję** (nie pozbawiając majątku ani innych praw) jednego z obywateli. Zestawmy to z projektami ustaw dekomunizacyjnych w poprzedniej dekadzie, gdzie przewidywano niektóre kwalifikowane kategorie **komunistów** na dziesięć lat pozbawić dostępu do pewnych stanowisk w służbie publicznej: wrzask przeciwko temu podnoszono, jak gdyby chodziło np. o karę śmierci przez spalenie żywcem (aluzja w hasle wywoławczym *"polowania na czarownice"*).

Owszem, są tacy ludzie, którzy żadnej takiej kariery nie robili — im należałoby, moim zdaniem, raczej oszczędzić tego wstydu. **Dawni donosiciele, będący osobami prywatnymi, potrzebują miłosierdzia w wymiarze prywatnym — od tych, na których donosili.** Byłoby dobrze, gdyby umieli przełamywać wstyd, o przebaczenie prosić, a zaproponowane przyjmować. Byłoby dobrze, gdyby ofiary ich donosów umiały im tę wielkoduszność okazywać. **Ale jednych i drugich nie sposób przymusić ani wyręczać.** Można liczyć tylko na ich dobrą wolę pojednania i uzdrowienia wzajemnych relacji. **To nie jest łatwe (dla żadnej ze stron!), ale tego nie da się ominąć, jeśli chcemy budować na prawdzie.** Proces pojednywania powinien odbywać się z obu stron dobrowolnie i oczywiście indywidualnie, żadnego zastępowania "indywidualnej spowiedzi" przez "spowiedź powszechną". Ale właśnie z tego powodu uważam, że dostęp do dokumentów będących śladami działalności donosicielskiej powinien wyglądać tak, jak obecnie, nie jestem zwolennikiem udostępnienia wszystkiego wszystkim. (Mówię to z pozycji człowieka, któremu IPN przyznał status "pokrzywdzonego", nie zaś jako ktoś, kto może być osobiście zainteresowany w ukryciu przeszłości.) Tylko ktoś, kto specjalnie o to zabiega, i tylko w odniesieniu do dokumentów, które dotyczą zainteresowanego, powinno udostępniać się tzw. "teczki".

Są wszak również takie osoby wśród konfidentów tajnych służb **PRL**, które sumienie ruszyło jeszcze "za **komuny**" i potrafili zerwać współpracę z **bezpieką**, a na dodatek przyznać się do niej wobec tych, na których donosili. Pamiętam jeden taki wypadek w Toruniu (czerwiec¹⁷ 1984 r., TW "Wanda", zresztą niedługo potem nazwany z imienia i nazwiska w pewnej podziemnej publikacji). **Im publicznego zawstydzenia powinno się oszczędzić**, bowiem oni je już przeżyli (a na dodatek przeżyli wtedy strach z powodu ew. zemsty ze strony **SB**).

Jeżeli na przykład w internecie można będzie znaleźć spis wszystkich rozpoznanych tajnych współpracowników **SB** i im podobnych osób, to zwłaszcza ludzie, np. z powodu swojego młodego wieku mało rozumiejący czasy **PRL**-owskie, mogą łatwo pochopnie ludzi szufladkować, a nawet wśród donosicieli istnieje jakieś stopniowanie zdemoralizowania. Co innego jednak w przypadku ludzi, ubiegających się o różne publiczne funkcje: sama natura służby, do której aspirują, zakłada, że ich prywatność (nie tylko w wymiarze dot. ew. kolaboracji z **tajnymi służbami komunistycznymi**) jest ograniczona. **Jest zasadne roziągnięcie obowiązku poddawania się lustracji na pewne kategorie osób, dotychczas nim nie objęte.** Wyniki takiej lustracji powinny być dostępne w zakresie szerszym, niż tylko stwierdzenie, że ktoś dopuścił się, albo nie, tzw. "kłamstwa lustracyjnego". Podzielam w tej mierze pogląd, nieraz wypowiedziany przez p. Janusza Korwin-Mikkego, że **człowiek, który za młodu uległ szantażowi albo pokusie i w ten sposób podjął kolaborację np. z **bezpieką**, po latach (a z wiekiem zwykle potencjalne "bohaterstwo" u ludzi maleje...) tym łatwiej, np. jako radny, jako redaktor naczelny, jako profesor albo sędzia, może dać się skorumpować lub zastraszyć.** Ktoś, kto przyznał się do bycia **TW**, **powinien być dyskwalifikowany z pewnych rodzajów służby publicznej**, jak ten, który taką swoją współpracę zataił. Tu nie gra roli nawet wzgląd moralny, co raczej pragmatyczny — obawa o ryzyko dla dobra wspólnego.

Margines ostrożności z miłosierdzia

Pamiętam dramatyczną scenę, jak to poseł Antoni Furtak przed kamerami TVP krzyczał na posła Antoniego Macierewicza (wtedy już byłego ministra spraw wewnętrznych) z powodu umieszczenia nazwiska p. Furtaka na liście domniemyanych współpracowników SB. (Por. także: *"Furtak w furii. Rozmowa z liderem »Porozumienia Ludowego« posłem Antonim Furtakiem, który publicznie chciał »stłuc« Macierewicza"*, **"TAK. Tygodnik dla wybranych"** nr 21(26) z 7 sierpnia 1992 r.) Jeden poseł Antoni drugiemu posłowi Antoniemu nic innego **nie zrobił, ani nie mógł zrobić**: np. amputować język albo palce, zamknąć do więzienia, wyeksmitować z mieszkania, pozbawić mandatu poselskiego albo miejsca pracy, ani wreszcie skazać na banicję; najwyraźniej pos. Furtakowi chodziło tylko o swoje dobre imię u innych ludzi. Pomijam kwestię zasadności uznania p. Furtaka za byłego **TW SB**. Mam na myśli kwestię wstydu. Ten przykład pokazuje, że **wstyd jest przykrością tak bardzo dolegliwą, iż niejednemu takiemu człowiekowi może (o ile jest zasłużona) wystarczyć jako "kara" za nieczne tajemne uczynki w przeszłości**. Zaiste: kombatant II wojny światowej i inwalida wojenny (posiadający liczne odznaczenia cywilne i wojskowe, w tym Order Virtuti Militari), bezpartyjny i nijak nie kojarzony z **"komuną"**, mający przy tym imponujący dorobek zawodowy, a w kilka dni po tym, gdy jego współpraca z **SB** wyszła na jaw, przyjmujący **Order Orła Białego**, zaś w tydzień później wygłaszający odczyt^[8] w Szkole Cnót Obywatelskich (działającej pod auspicjami prymasa Polski), to jednak inny "kaliber" postępowania, aniżeli postawa — może motywowana poczuciem wstydu? — jego (o 6 lat młodszego wiekiem) kolegi po naukowym fachu, również konfidenta **bezpieki**, długoletniego członka **PZPR**, który w stanie wojennym (!) odmówił przyjmowania odznaczeń **reżymowych** (na co użalał się w swoim raporcie z 2 maja 1983 r. komendant wojewódzki **MO** w Toruniu).

Jeżeli bowiem ktoś taki swoją karierę przez minione kilkanaście lub więcej lat (nadal) realizował i nie zdobył się na odwagę przyznania się z własnej woli do donoszenia, albo jeżeli dzięki pieniądзом uzyskanym za donosy urządził się dobrze pod względem materialnym, lub choćby tylko łatwiej osiągnął wysoki prestiż społeczny (tu mam na myśli np. naukowców), to może należałoby takiego kogoś potraktować względnie surowo, nawet gdy to jest osoba, będąca teraz w wieku emerytalnym i pozostająca już w cieniu, żyjąca tylko życiem prywatnym. Również raczej bez ulgi należałoby traktować takich, którzy nie wzbraniali się przyjąć eksponowanych stanowisk w życiu publicznym (niekoniecznie politycznym), a na odwagę cywilną ujawnienia swojej wstydlivej tajemnicy nie zdobyli się ani przedtem, ani potem, aż do teraz. **Pisząc o surowości i braku ulg mam na myśli nieoszczędzanie takim osobom ich publicznego zawstydzenia**. Jest tu jednak miejsce na bardzo indywidualną ocenę — przez analogię do tzw. "sędziowskiego wymiaru kary".

Gdyby wszakże ujawnić wszystkie teczki **"tajnych współpracowników"** (i **"kontaktów operacyjnych"** — zresztą w różnych pionach **MSW** i **MON** te kategorie osób były rozmaicie nazywane) bez uprzedniego sprawdzania ich autentyczności, to można by "wylać dziecko z kąpielą" czyli niejednemu człowiekowi wyrządzić — niezasłużoną nawet — przykrość. Książka historyka Wojciecha Polaka, pt. *"Czas ludzi niepokornych. Niezależny Samorządny Związek zawodowy »Solidarność« i inne ugrupowania niezależne w Toruniu i Regionie Toruńskim (13 XII 1981 — 4 VI 1989)"* (Wydawnictwo UMK, Toruń 2003) przedstawia na str. 408-409 dwa przypadki osób, którym **esbecy** założyli teczki tajnych współpracowników bez ich wiedzy i zgody. Jedno z tych fałszerstw zostało uznane za takowe w jesieni 1991 r. podczas pamiętnego procesu o tzw. porwania toruńskie (wśród prawie trzechset stronic uzasadnienia wyroku Sąd Wojewódzki czterdzieści przeznaczył ubocznemu tematowi: oczyszczeniu jednego z poszkodowanych z pomówienia o konfidentstwo — pojawiła się bowiem na owym procesie *"[...] teza jednego ze sprawców porwań toruńskich, funkcjonariusza SB, iż wśród porwanych był TW, [...] wsparta*

dokumentem sporządzonym na formularzu, jaki wszedł do użytku po czasie, w którym miał być rzekomo sporządzony." — Andrzej Zybertowicz, *"W uścisku tajnych służb. Upadek komunizmu i układ postnomenklaturowy"*, Wydawnictwo "Antyk", Komorów 1993 r., str. 143); drugi taki przypadek został rozpoznany dzięki temu, że sprawca fałszerstwa (były funkcjonariusz **SB**, którego tożsamość pozostaje tajemnicą autora książki *"Czas ludzi niepokornych. [...]"*) sam przyznał się do tego. Nie tylko przed Sądem Wojewódzkim w Toruniu w 1991 r., ale także przed Sądem Rejonowym w Koninie w 2004 r., funkcjonariusze **SB**, oskarżeni o prześladowanie działaczy podziemnej "S" (a potem uznani winnymi i skazani za te czyny), posługiwali się pomówieniem swoich byłych ofiar o konfidenctwo, czyniąc to w oparciu o watpliwej wartości dokumenty. Toteż **procedura ujawniania agentury powinna być zaopatrzona w mechanizmy, powstrzymujące przed zbyt łatwym przypisywaniem komuś donosicielstwa.**

*

Odnoszę wrażenie, że **hasła całkowitego otwarcia dostępu do archiwów bylej **bezpieki**, przynajmniej, gdy są lansowane przez polityków, stanowią element gry**, polegającej (przynajmniej) na próbie kokietowania opinii publicznej. Politycy, również ci, którzy w początku lat 90. byli raczej lub zdecydowanie przeciwni lustracji, dostrzegają ostatnio, że w opinii publicznej nastąpiła zmiana w tym względzie: poglądy niechętnie lustracji, dekomunizacji i w ogóle rozliczeniom, chociaż zręcznie rozpowszechniane przez **[post]komunistów** i ich popleczników, mają coraz mniejsze poparcie w społeczeństwie polskim. Chcą więc dostosować się do zmienionych gustów "elektoratu" w obliczu zbliżających się kampanij wyborczych (podobnie dzieje się w odniesieniu do postulatu zmiany ordynacji wyborczej na większościową). **Dwa okresy w dziejach kilkunastoletniej "transformacji ustrojowej", tj. lata 1995-97 i 2001-05, kiedy i stanowisko prezydenta, i najsilniejszy klub parlamentarny były obsadzone przez polityków bylej **PZPR**, najwidoczniej dały (wreszcie) obywatelom polskim dostatecznie dużo do myślenia, toteż takie kokietowanie wyborców przez polityków jest całkiem naturalne. Jednakże, chociaż żądania rozliczeń mogą być i zapewne są traktowane instrumentalnie przez ambitnych polityków, sam problem istnieje rzeczywiście i dlatego warto być odpornym na demagogiczne argumenty nie tylko zwolenników, ale także przeciwników tych żądań. Odnosi się to także do kwestii, czy, co, komu i na jakich warunkach należy wybaczać. Chciałoby się powiedzieć: ludzie, myślcie, to naprawdę nie boli...**

Toruń, 11 marca 2005 r.

* Rodzima uczelnia tego **konfidenta**, KUL, z pełną premedytacją urządziła w tym roku na jego cześć specjalne uroczystości, co stanowi świadectwo zadziwiających standardów moralnych tej katolickiej placówki akademickiej (przypis Redakcji **"Opcji na Prawo"**).

^[1] Prawowitym królewiczem na wygnaniu jest Simba; tym, który go uderzył, jest Rafiki. Wspomniana rozmowa pomiędzy nimi (ok. 66. minuty 85-minutowego filmu) jest następująca: **Simba:** "Ej, coś ty, a to za co?" **Rafiki:** "To nie ma znaczenia. To już przeszłość." **Simba:** "Ale boli nadal." **Rafiki:** "Tak, przeszłość często boli. Można od niej uciekać albo wyciągnąć z niej jakieś wnioski." (zob. też: <<http://www.youtube.com/watch?v=cZCRuarj6Gk>>, <<http://www.youtube.com/watch?v=G-IDY3duCgU>>, <http://img8.demotywatoryfb.pl/uploads/2013/12/1385907582_tpxwho_600.jpg>).

^[2] Były to: **"Najwyższy Czas!", "Głos", "Nasza Polska", "Tygodnik Solidarność" i "Nasz Dziennik"**.

^[3] Ta informacja wymaga sprostowania. Książę Bogusław Radziwiłł był, owszem, aktywnym kolaborantem najeźdźcy szwedzkiego 31 XII 1655 – 8 X 1656, potem w latach 1657-1669 czyli przez ostatnie 12 lat życia (w imieniu swojego krewnego, księcia Fryderyka Wilhelma I Hohenzollerna!) sprawował urząd generalnego namiestnika Prus Książęcych (i do tego nie potrzebował zgody króla Jana II Kazimierza! – wbrew temu, co napisałem), w latach 1661-1663 zwalczał konfederatów (część szlachty i mieszczaństwa w Prusach pod przywództwem Albrechta Kalksteina i Hieronima Rotha), którzy chcieli przywrócić (zniesioną w 1657 r. na mocy tzw. traktatów welawsko-bydgoskich) zależność lenną Prus Książęcych od Rzeczypospolitej, a mimo tego był niejednokrotnie (np. w latach 1658, 1661, 1662 r.) był posłem na Sejm Rzeczypospolitej. Przytoczone tutaj słowa Henryka Sienkiewicza o księciu Bogusławie Radziwiłł, włożone w usta Jana Onufrego Zagłoby, odnoszą się do jeszcze późniejszego posłowania księcia Bogusława na Sejm Rzeczypospolitej, a mianowicie tego w jesieni 1668 r.

^[4] Byli to 4 członkowie Komitetu Samoobrony Społecznej "KOR" i 7 członków Komisji Krajowej NSZZ "Solidarność"; odpowiedzią na to był pamiętny, o bardzo szyderczej wymowie, list otwarty jednego z owych b. KOR-owców, Adama Michnika do gen. Kiszczaka z dnia 12 grudnia 1983 r.

^[5] Rzecznik prasowy rządu min. Jerzy Urban powiedział o tym projekcie 4 września 1984 r.

^[6] Tu, pomimo liczby mnogiej, jest oczywiście mowa głównie o jednej postaci: gen. Wojciechu Jaruzelskim i o (ujawnionych przez prof. Bukowskiego) jego staraniach o wkroczenie **Armii Czerwonej** do Polski w 1981 r. w razie niepowodzenia **stanu wojennego**, realizowanego tylko siłami **PRL**.

^[7] To było w rzeczywistości 6 stycznia (a nie: czerwca) 1984 r., jak ustaliłem już po napisaniu tego tekstu (z dokumentów znajdujących się w IPN wynika, że TW "Wanda" pewnych wiadomości udzielał **bezpiece** w styczniu 1984 r. także po tym, jak ujawnił swoje konfidenctwo wobec osób, na które donosił).

^[8] Na temat: **"Znaczenie chrześcijaństwa dla kultury, państwowości, tożsamości narodu polskiego"**, wygłoszony 15 grudnia 2004 r.